

## Paryżanka.

Z cichym pomrukiem ocierało się pięści w morze o szare rafy skalne, co jak potwory olbrzymie sterczały wokół.

Młoda dama, z powiewającymi w wietrze włosami, bosymi nogami, w ciasno przylegającym błękitno-białym swetrze, pochylając się nad morską, szukała drzemających tam krabów.

— Yann, jakżeby to miło było z twej strony, gdybyś mi koszyk przyniósł! — zawołała — zostawiłam go na skałach.

I zwracając się natychmiast do elegancznego, młodego mężczyzny, który o kilka kroków od niej na uboczu stojąc, przyglądał się jej z podziwem, rzekła:

— Roger, mógłbyś, doprawdy, pomóc mi trochę, zamiast stać bezczynnie z założonymi na krzyż rękami!

— Ach, Odette, wiesz przecież, jak rzadko miwam szczęście, być sam na sam z tobą... Cóż dziwnego, że widok twój o wiele więcej mnie zajmuje, niż polowanie na bezbronne stworzonka?

— Pst, Roger... Yann idzie...!

I mała rączka łowczyni krabów spoczęła na wargach przyjaciela, który wnet ze sposobności skorzystał, by na końcach paluszków gorący pocałunek wycisnąć.

Yann przychylił się do prośby młodej damy. Przystanąwszy jednak nagle, obrócił się i uchwycił tklivny ruch paryżanki. Z groźnym błyskiem w stalowo - błękitnych oczach i pochyloną ku ziemi głową poszedł za chwilę dalej powoli.

Yann kochał się w czarującej Odecie Verfeil; ten na brązowo opalony dwudziestopięcioletni rybak zobaczył ją zeszłego lata po raz pierwszy podczas przerwy między dwiema długimi podróżami morskimi. Porażony osobliwym, bijącym od niej czarem, przyciągnięty i do szafu niemal jej lekkomyślną kokieterią doprowadzony, walczył daremnie z namiętnością, która coraz wszechwładniej jego serce opanowywała.

Miał ją zawsze i wszędzie w oczach; w dzień, i we śnie; w żarze podzwrotnikowej nocy, kiedy wsparty o parapet okrętu, wschodzącej lampie nocnej się przyglądał, a jasno-włosej paryżanki nieziemska wizja z niebios szafiru ku niemu się śmiała.

W początkach lipca do ojczyzny wróciwszy, znów ją zobaczył; jeszcze piękniejszą i wdzięczniejszą tym razem, bardziej jeszcze radości i szczęścia pełną, z większym jeszcze blaskiem słońca w zielonkawych oczach, co z pod wianka zrzeszłoczystych tak zagadkowo błyszczeć umiały.

Młody chłopiec czuł wrzący szaf w mózgu, kiedy, jak dziś właśnie, panią Verfeil na pieszczocie z Rogerem Delrieu, jej kochankiem, łapał.

— Yann podniósł koszyk i zaniósł go Odecie.

— Wielmożna pani musi już chyba wracać — rzekł — morze zaczyna wzbierać.

— Rogerze, podaj mi rękę... i trzymaj mnie!..

Tklivie do ramienia przyjaciela przytulona, Odette brodziła dalej po wybrzeżu. Yann w odległości kilku metrów szedł za nią, jej zgrabnej sylwetki, wdzięcznym, kolistym się ruchem po kamyczkach sunącej, na jedną chwilę nie spuszczać z oka.

Szli... Za nimi morze toczyło swe, pianą obramowane fale, rozbijając je o skały, na których żółte wodorosty jak jasno-żółte pasma włosów zdala połyskiwały...

Kiedy stanęli na płaskowzgórzu, którego morze przy silnym przypływie tylko sięgało, zatrzymali się.

— Spójrz na morze — odezwał się Roger — jest dziś koloru twych oczu.

— Moje oczy są bardziej zielone, nieprawdaż Yann — odparła Odette zalotnie, dotykając przez kilka sekund wzrok w oczach rybaka.

— Aj!... Ja!... Wielmożna pani... wie przecież... — jąkał się Yann. — ...Yann nie jest malarzem, wielmożna pani..!

— Nie zapominał Yann — przerwała mu Odette — że ja: za tydzień wyjeżdżam; przed wyjazdem jednak chciałabym jeszcze na Białej wyspie trochę krabów złowić.

— Jutro wielki przypływ, możemy więc w czasie odpływu tam pójść, jeśli wielmożna pani sobie życzy.

— Dobrze, postanowione! Jutro zatem przyjdiesz Yann i zaprowadzisz nas. Liczymy na ciebie!

Jeszcze jedno tylko łaskawe kłótnięcie główką i Odette z Rogerem Delrieu odeszła.

— To prawda, że ona zielone ma oczy, paryżanka! — mruknął Yann — zielone, jak morze, kiedy jest gniewne...

Płomień tych oczu palił mu serce śmiercionośnym żarem.

— Za tydzień odjedzie... — musiał ustawicznie myśleć — za tydzień już jej widywać nie będę...

Yann marzył długo jeszcze o złom skalny wsparty, podczas gdy Biała wyspa, do której się jutro paryżanka z nim wybierała, w fioleciech zmierzchu z oczu mu mikała.

Morze daleko wstecz się cofnęło. Grupa kąpielowiczów idzie po piasku, by Białej wyspy dotrzeć. Żwawo i ochotczo na czele karawany Odette podąża, wygrzebując z Yannem u boku różne kraby, ślimaki i raki po drodze.

Gorączką łowiecką trawiona, oddala się nieświadomie od reszty towarzystwa. Już jest na jednej z mniejszych skał, od Białej wyspy na jakie dwieście metrów oddalonej i przy pełnym morzu zwykle w wieńcu piany tonącej.

Yann smując się jak cień za paryżanką. Jest oszołomiony jej pięknnością, zapach jej odurza go i dreszczem przejmuje. Nie zwracając uwagi na godzinę, idzie z Odettą coraz dalej i dalej.

Nagle okrzyk przerażenia wyrywa się z jej zachryplej krtani:

— Yann, spójrz! Jesteśmy wodą okrażeni!

Wówczas dopiero ocknął się, jak z ciężkiego snu wyrwany. Jedno spojrzenie i grożące niebezpieczeństwo zrozumiał. Prze-

strzeń od skały, na której stoją, do Białej wyspy spienioną wodą zalana — przestrzeń ta z chwilą każda coraz jest szersza i szersza....

— Za mną, wielmożna pani!

Dreszcz przerażenia nią wstrząsa.

— Ależ nie będę miała gruntu pod nogami....

— Pani popłynie.... Prędejj, prędejj, będę pomagać.

Odette jeszcze zwleka, boi się, że sukienka nie da jej płynąć... lecz fale szumią już u jej nóg, sięgają kostek, obryzgują lydki... Na wyspie stoi jej mąż z Rogerem, obaj żywo znaki jej dają.

— Niech wielmożna pani idzie za mną — mówi Yann — mamy tylko pięć minut czasu, potem przyjdą wielkie łamiące się fale.

Spokój rybaka i jej się udziela; nabiera pewności siebie, rzuca się do wody i pływać zaczyna. Yann obok niej, podziwiając jej klasycznie zbudowane kształty, nie mogąc się proporcji tych smukłych członków napatrzeć. Ona, zwracając ku niemu głowę pyta z niepokojem:

— Prędko tam dopłyniemy?

— Tak... tak... — jąkała jego usta. Ale oczy jego skrzyżowały się z jej zabójczym spojrzeniem... Niepokonaną mocą wiedziony, zbliża się do Odetty. Jeszcze raz topi wzrok w jej subtelnie rzeźbionej twarzyczce, jasnych, jak płynne złoto połyskujących włosach... fala namiętności zalewa mu mózg... przyciąga bez słowa paryżankę do siebie... dziękli, nieprzytomny pocałunek wyciska na jej wargach, ściąga ją w dół i znikają oboje z oczu męża oraz kochanka w głębinie...

Mocno splecioną parę szaro-zielone fale rzuciły na skały wyspy....

Tłum. Jotsaw.



Polscy rekordziści Kuncewicz i Matyslak.

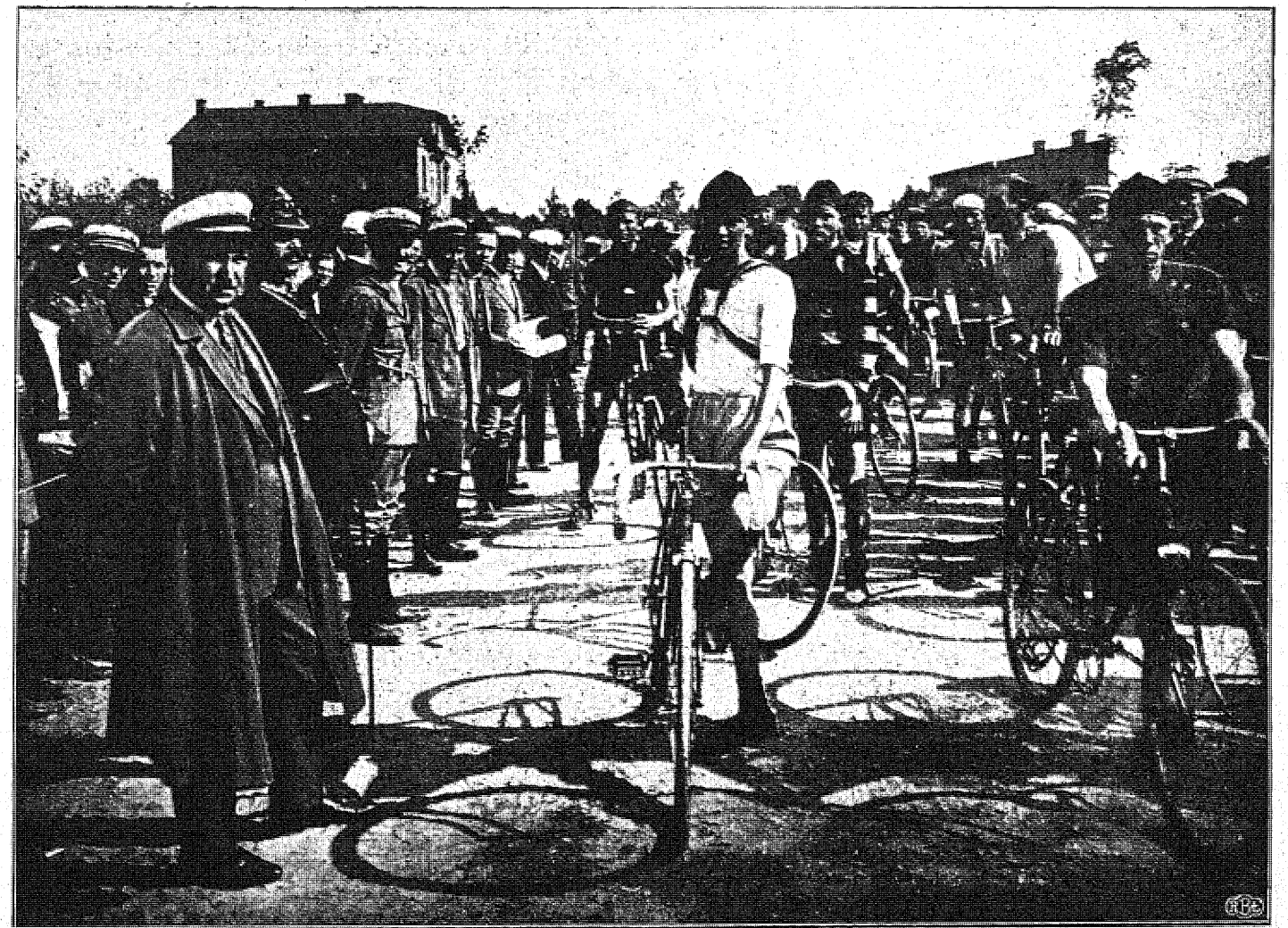


Rok IV.

Łódź, 11 września 1927 roku.

№ 37.

## Jubileuszowe zawody kolarskie T. Z. S. w Łodzi.



W dniu 4 b. m. odbył się w Łodzi na okężnej trasie Konstantynów — Lutomiernsk — Aleksandrów — Zgierz, na przestrzeni 126 kilometrów, bieg kolarski o nagrody jubileuszowe Towarzystwa Zwolenników Sportu, zorganizowany z okazji 20-lecia istnienia Klubu.

Na zdjęciu uczestnicy biegu na mecje.

Fot. Aleksander Meyer.



## Teatralja.

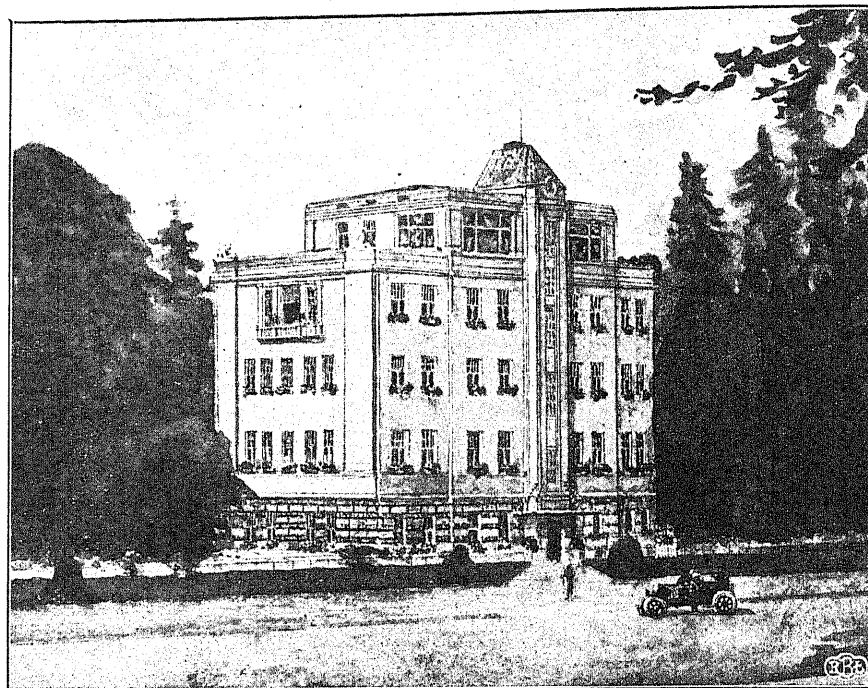
„Fura słomy“. — U progu sezonu. — Duse i Duce. — Z anegdot teatralnych.

Jeden z najmilszych i najweselszych ludzi w Polsce, który pisze rzadko, ale dobrze, słowem Zygmunt Kawecki, wystąpił na scenie warszawskiego Teatru Małego z najnowszą komedią pod intrygującym tytułem „Fura słomy“. Komedia ta, czy raczej farsa jest bardzo dowcipną karykaturą powojennych stosunków małżeńskich, karykatura, w której zresztą tkwi niejedno ziarno prawdy. Oto krótki szkic tej „Fury słomy“, będącej aluzją do wyjściowego epizodu komedji, jako też może w pewnym stopniu do przeróżnych awantur birbantującego w „słomianem wdowieństwie“ małżonka bohaterki. Do tego właśnie „wdowca“ zjeżdża dość niespodziewanie z jakiegoś uzdrowiska prawowita połowica. Cała rzecz jednak w tem, iż zjeżdża nie — sama, lecz z „narzeczonym“, poznanym przed paru tygodniami zaledwie na letnich wywczasach. Zaskoczony niezwykłością sytuacji małżonek, mający zresztą dość obciążone grzechami „wdowieństwa“ sumienie, nie odgrywa bynajmniej roli Otella. Wprost przeciwnie — nietylko godzi się z dopustem Bożym i fantazją swej połowicy, ale nawet zabiega około rozwodów zarówno żony, jak i jej szczęśliwego (?) „narzeczonego“, oddaje im do dyspozycji własne mieszkanie, słowem — czyni wszystko, co możliwe, aby rozwiązać stary i mawiającowy węzeł matrymonjalny.

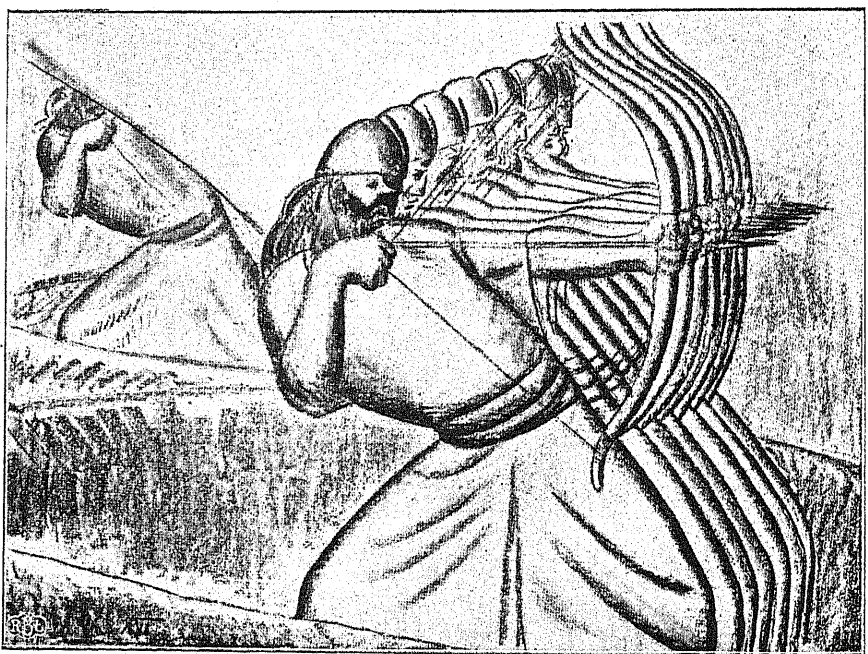
Te cnoty, zacnego męża nie pozostają bez nagrody, i to nagrody, o jakiej zapewne sam nie marzył. Romantyczna dama, przekonawszy się rychło, że z dwójga złego — stary mąż pod wielu względami lepszy jest od niespodziewanego oblubieńca, zrywa z tym ostatnim i powraca do małżeńskich pieleszy. Jak tam na ten powrót zareagował małżonek, któremu świtły już perspektywy nieograniczonej swobody, mniejsza o to. Faktem jest, że z komedji sam przez się moral (może trochę niemoralny) wylania, iż wyrozumiałość, spokój i — dobre serce, okazane w najdrażliwszych nawet sytuacjach życiowych, są wynagradzane, podczas gdy zrywanie słodkich owoców na cudzym drzewie prędzej czy później kończy się porażką.

Nie o moral zresztą chodzi w doskonałej komedji Kaweckiego, gdyż autor ten szczęśliwie nie ma żadnych pretensyj do godności kaznodziejskich i moralizatorskich, dzięki czemu właśnie, sztuki jego są tak miłe, pogodne i wesołe. Wszystkie te zalety świecą, jak lampa elektryczna w „Furze słomy“, która jest i pozostanie w rzędzie najlepszych fars polskich powojennej produkcji. Kawecki zbudował pierwszorzędną szopkę umiejętnie wystrugał i w ruch puścił figurki tak modnej dziś małżeńskiej historii i historję tę opowiadał w sposób bardzo dowcipny, żywy, nie nużący.

Sukcesowi komedji pomogła kapitalna gra zespołu, z wypoczętymi siłami i nerwami spełniającego swe zadanie. Należy wymienić pp. Maszyńskiego, Grabowskiego,



Ewangelickie Towarzystwo Filantropijne w Łodzi przystąpiło do budowy gmachu sanatorium pod wezwaniem św. Jana. Na zdjęciu projekt gmachu.



Iwan Mestrowić. (Z Miejskiej Galerji Sztuki).

„Lucznicy“.

Kamińskiego, jako osoby trójkąta, prócz nich zaś pp. Modzelewską i Grolickiego w rolach pomniejszych. Teatr Mały nader udanie zainaugurował sezon: dał nietylko komedje oryginalne, ale i komedje — dobrą.

Prawie jednocześnie z Operą Warszawską otworzył swe podwoje Teatr Wielki w Poznaniu, wystawiając, jak przystoi, nieśmiertelną „Halke“ z pp. Lubicz, Bedlewiczem, Karpackim i Mazankiem w rolach głównych. Na przyszłość najbliższą afisz zapowiada „Don Juana“ — Mozarta oraz „Miłość cygańska“.

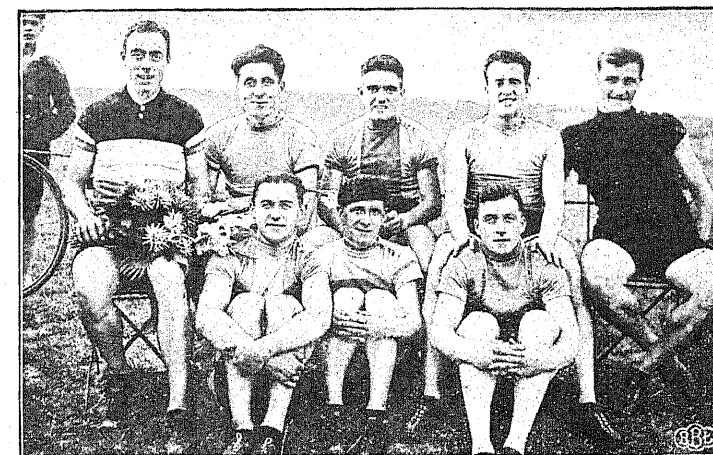
W niedalekiej przyszłości Teatr Polski w Warszawie wystawia „Fedore“, jedną z najgłośniejszych sztuk Wiktoryna Sardou.

Sztuka ta ukaże się w nowym tłumaczeniu p. G. Olechowskiego, pod tytułem „Księżna Ramazowa“. W roli tytułowej zabłyśnie wspaniały talent p. Przybylko-Potockiej, która kontynuować będzie tradycje sceniczne wielkich dramatystek polskich, wśród których również Helena Modrzejewska zaliczała „Fedore“ do swych ról popisowych.

W wydanej nakładem „Roju“ ciekawej książeczce p. Hanny Skarbak o „Eleonorze Duse“ znajdujemy m. in. szczegóły biograficzne, dotyczące stosunku dyktatora Włoch do znakomitej tragiczki włoskiej oraz admiracji tegoż dla jej talentu. Gdy w roku 1923 sześćdziesięciokilkuletnia



Nagrody jubileuszowe Towarzystwa Zwolenników Sportu w postaci pucharu, kompletu platerów i figurki.

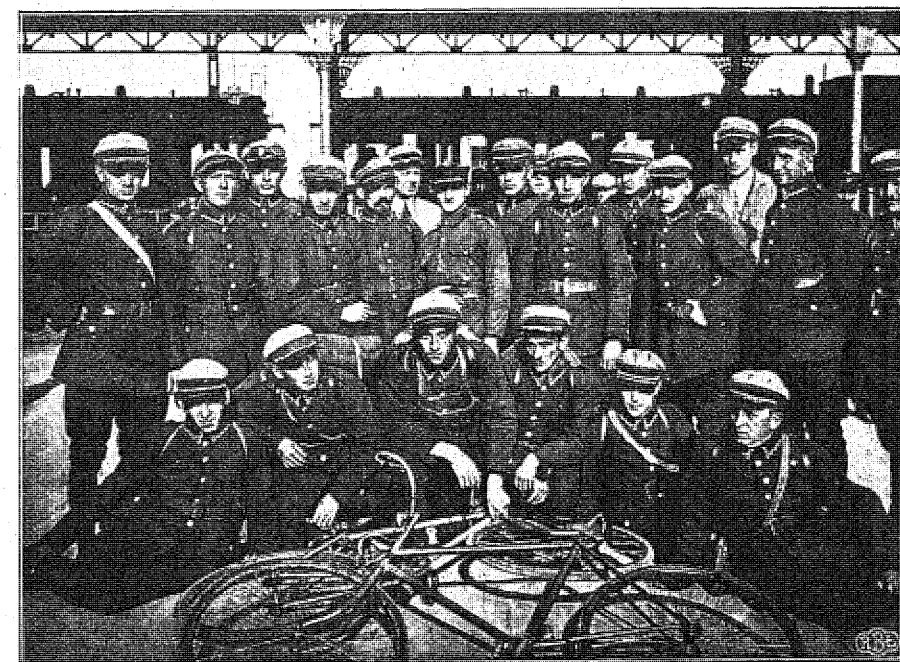
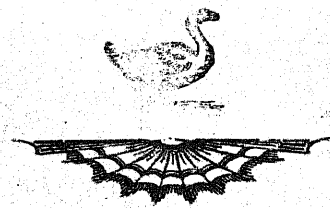


Grupa uczestników biorących udział w jubileuszowych zawodach kolarskich w dniu 4 b. m.

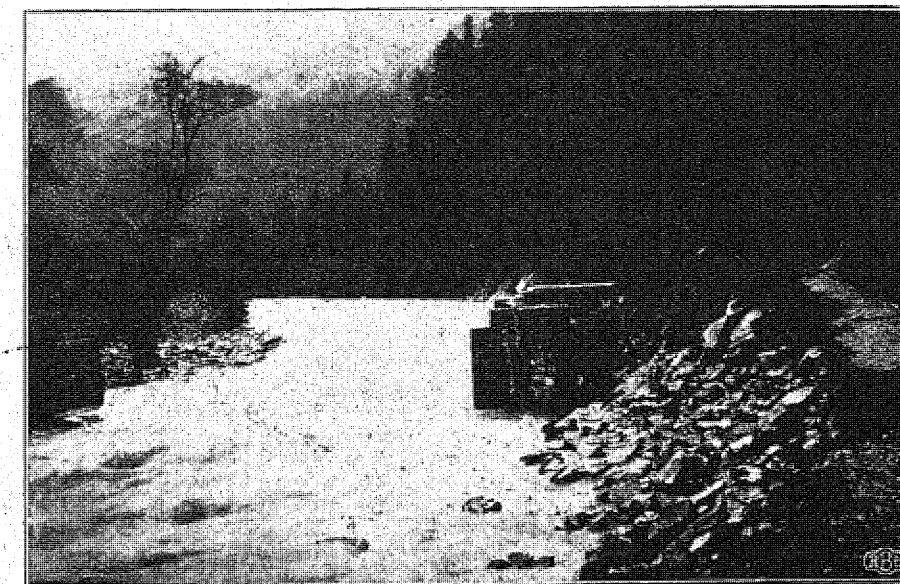
Duse z powodu zrujnowanego zdrowia musiała zaprzestać występów scenicznych, będących jedynym źródłem jej utrzymania, i Duce wysłał do Duse jedną z swych najbliższych współpracownic, p. Sarfatti, która w imieniu dyktatora zaoferowała artystce dożywotnią pensję. Duse odrzuciła jednak tę propozycję, prosząc natomiast premiera Włoch o pomoc w sfinansowaniu zamierzonej wyprawy artystycznej do Stanów Zjednoczonych. Dzięki rządowemu subsydjum w wysokości 30,000 lirów impreza ta doszła do skutku, a Duse i jej trupa w ciągu kilku miesięcy wywoływały niebywały entuzjazm w większych miastach Ameryki Półn. Niestety jednak, dnia 21 kwietnia 1924 roku znakomita artystka umarła w Pittsburgu na zapalenie płuc, okrywając żalobą cały świat artystyczny. Wówczas Mussolini polecił ambasadorowi włoskiemu zaopiekować się osieroconym zespołem, umożliwić mu powrót do kraju, przedewszystkiem zaś wydał zarządzenie, aby ciało genialnej artystki włoskiej z należnymi jej talentowi honorami sprowadzone zostało na koszt rządu włoskiego do ojczyzny, co też w maju 1924 roku zostało wykonane.

O dowcipie słynnego aktora francuskiego Lucjana Guityry opowiadają m. in. następującą anegdotę. Pewien autor posłał mu swą sztukę do przeczytania i oceny, dodając: „Założę się o ludora, że nie przeczytasz tej komedji“. Nazajutrz Guityry odesłał autorowi manuskrypt, a wraz z nim 20 franków i karteczkę ze słowem: „Wygrałeś!“

Delta.



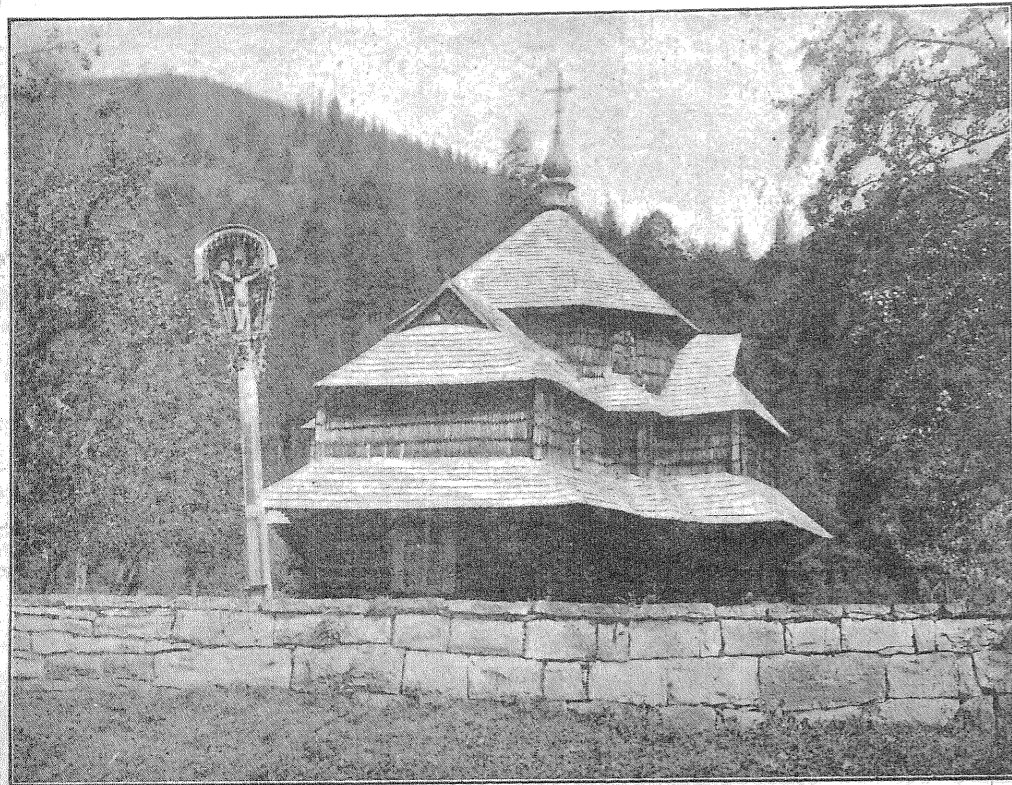
Sekcja kolarska Łódzkiego Klubu Sportowego przed wyjazdem na manewry wojskowe w dniu 3 b. m. na dworcu Łódź-Kaliska.



Skutki powodzi w Małopolsce. Uniesiony przez rzekę Prut most na szosie Worochta — Tatarów.

rot. A. Meyer.

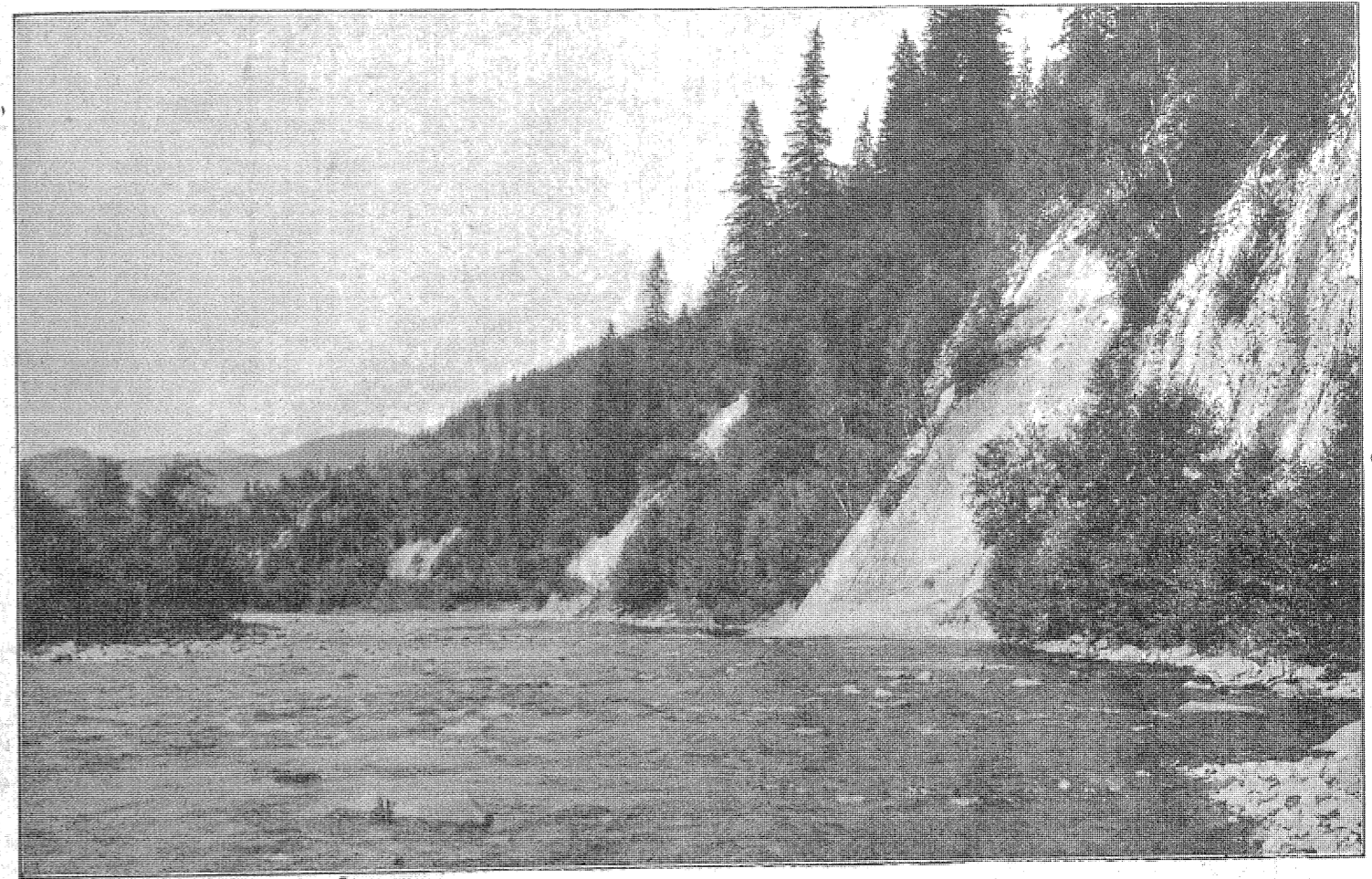




Starożytny kościółek modrzewiowy w Tatarowie.



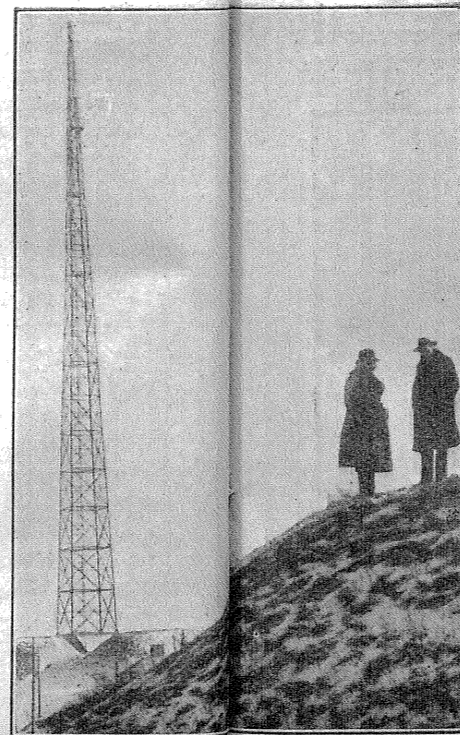
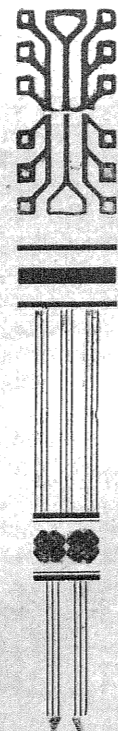
Hucul z Jaremczy.



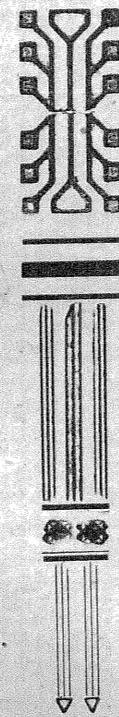
Rzeka Prut, przepływająca przez okolice Tatarowa.



Huculi z Jablonicy.



Wieża antenowa zawskiej radiostacji.

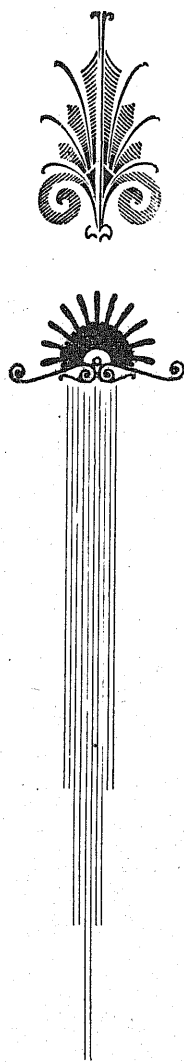


W rocznicę śmierci ś. p. Jana Kasprowicza. Ś. p. Jan Kasprowicz z żoną w swej słynnej bibliotece na Harendzie.





Allen Riggan, mistrzyni olimpijska w skokach do wody.



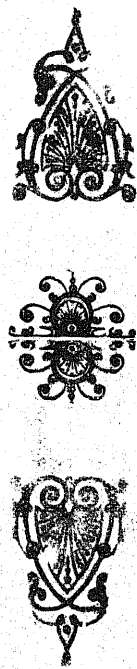
Jack Dempsey, zwycięzca Sharkeya.



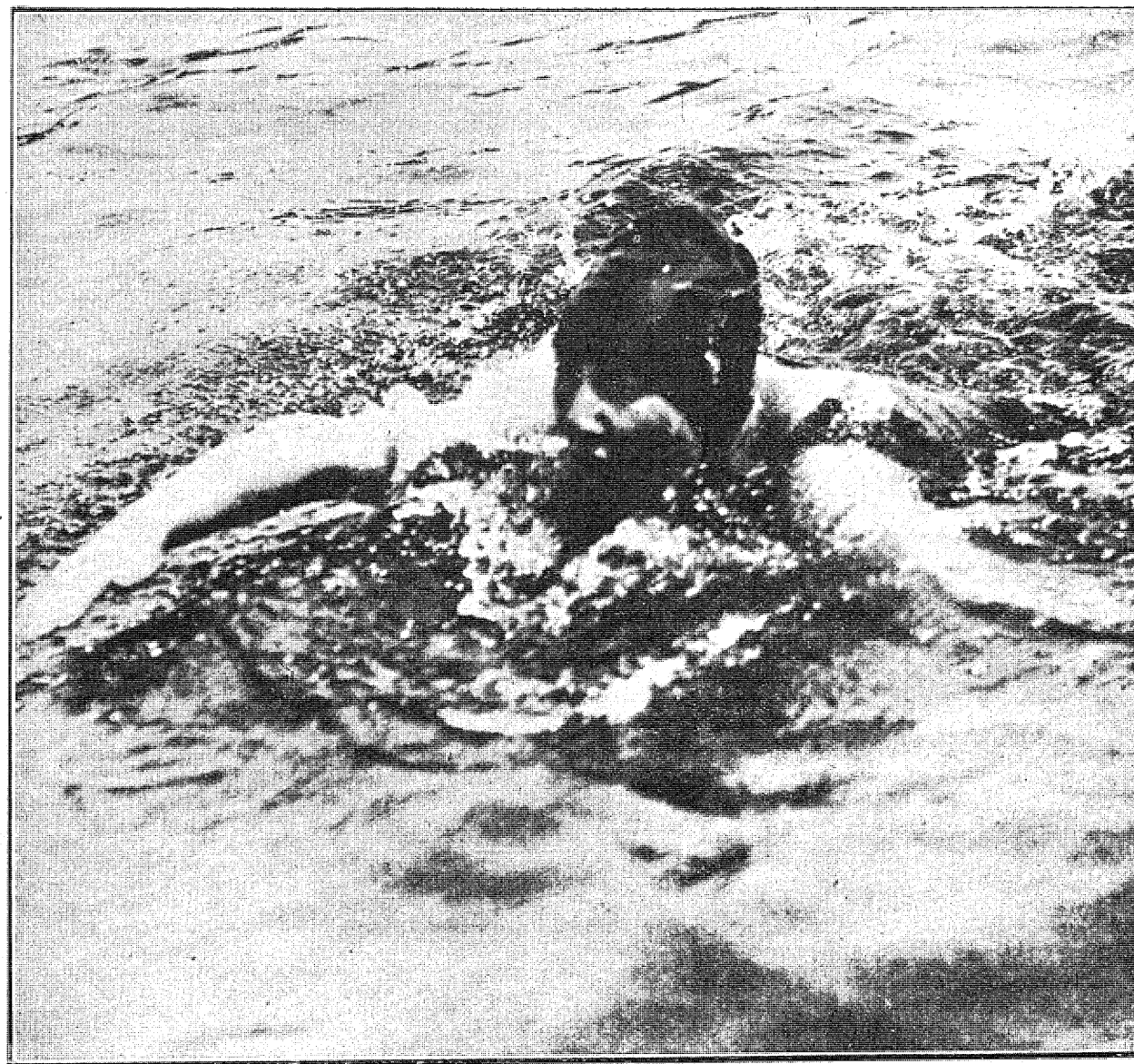
Niemieccy kolarze Engel i Steffes, zwycięzcy na międzynarodowych zawodach w Helenowie.



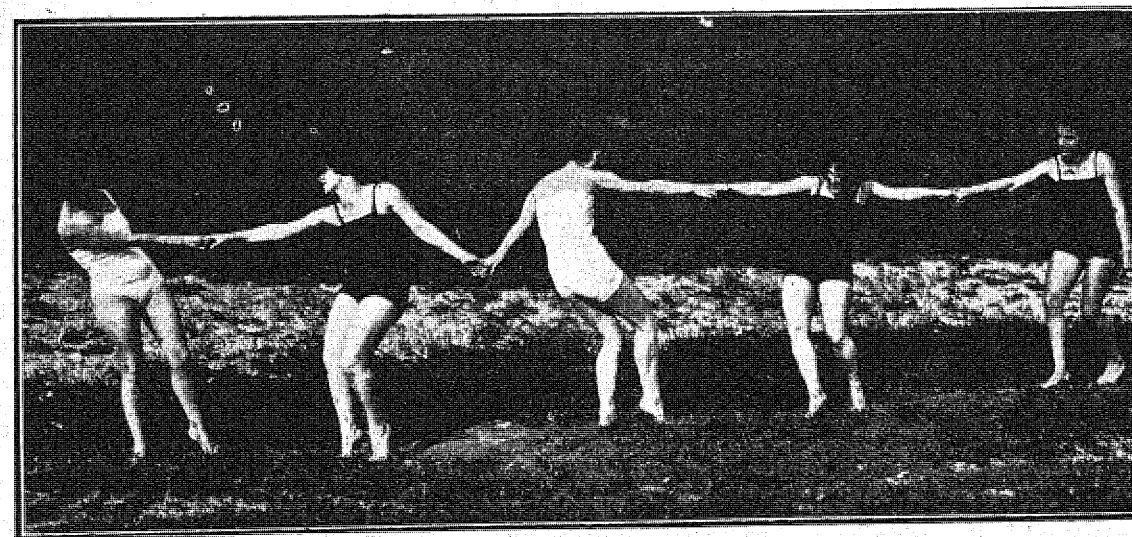
Podgórski, obok lodzianina Szmidta, najlepszy kolarz-sprinter w Polsce.



Jedna z najlepszych pięcioboistek, Lenżanka, reprezentująca Polskę w pięcioboju międzynarodowym.



A. Trattowa (Polonia) ustanowiła nowy rekord polski w pływaniu na 100 metrów.



Fragment gimnastyki plastycznej w szkole p. Dziewulskiej w Wiedniu.

PAUL ROSENHAHN.

### Hurtowy zakup.

Przez drzwi główne wszedł wysoki mężczyzna w covercoatowym palcie, jasnych skórkowych rękawiczkach, lakierkach na

nogach — wogóle mężczyzna, którego wygląd zadawałające konto bankowe na myśl przywodzi.

Pan Pinkvoss, szef magazynu, zbliżywszy się do niedbale przyglądającego mu się klienta, pyta uprzejmie:

— Szanowny pan do jakiego oddziału..?

— Czy z właścicielem mówię?

— Tak jest, panie.

— Doskonale. Mam większy zakup do zrobienia u pana — mówi klient, rzucając spojrzenie na partję „combinaison“ z prima macco - batystu — co te kombinacje kosztują?



— Pięć marek osiemdziesiąt sztuka — szanowny panie.

— To bardzo drogo. Musi pan dla mnie obniżyć cenę. Większą ich ilość weźmę.

— Większą ilość... Na tuziny mogą panu po pięć czterdzięci za sztukę policzyć.

— Przy takiej cenie również interesu nie zrobimy. Mówiłam już panu, że moje zapotrzebowanie jest duże.

— Najniższa cena pięć marek dwadzieścia pięć zatem.

— Hm. Ile tych kombinacji masz pan na składzie?

— Oh, panie — szef się roześmiał — ile tylko pan sobie życzy!

— Pięćdziesiąt tuzinów, dajmy na to...

— Pięćdziesiąt tuzinów? — jękał się szef. — Tyle nie mam.

— Dlaczego więc mówisz pan: ile sobie życzę?

— No... niech pan będzie łaskaw trochę zaczekać... sześć tuzinów znajdzie ich się na składzie.

— Sześć tuzinów... to trochę za mało, a zresztą... Gotów jestem dać panu po 4 marki za sztukę.

— Tęby wyniosło... — mówił pan Pinkvoss półgłosem, wzięwszy ołówek z ręki panny Kity i pisząc w notesie — dwieście osiemdziesiąt osiem marek ogółem. W myśli zaś dodał — sześćdziesiąt marek czyścigo zysku.

— Sprzeciwia się to coprawda — znów mówił głośno — mojej zasadzie; nie zwykłem odstępować od ceny, która i tak jak najniższej skalkulowana została. Ale wobec tego, że chodzi tu o pewnego rodzaju zakup hurtowy, nie będę ukrywał przed panem, że w tym wypadku...

Klient wyciągnął zegarek.

— Bardzo będę zobowiązany panu, jeśli mi pan pokaże zechce, co pan oprócz tego jeszcze ma na składzie?

— Owszem, proszę pana. Na co pan w dalszym ciągu reflektuje?

— Masz pan pyjamy?

Panna Kity rozpromienionym wzrokiem wskazała na różnobarwny stos z prawej strony magazynu leżący.

— Jaka cena?

— To zależy — zabrał głos pan Pinkvoss — skromniejsze są po dziesięć marek pięćdziesiąt, na te jednak pana nie mam; oto elegancka pyjama za dziewięćnaście marek; tu zaś ma pan coś wyjątkowo pięknego: trzydzięci marek, to prawda, ale za to — śliczności!

— Ile pyjam masz pan w zapasie?

— Co proszę...?

— Pytam, ile pyjam mogę u pana mieć?

— Och, panie... — pan Pinkvoss spojrział na pannę Kity, spotykając się z jej podnieconym wzrokiem. Rzucił okiem na pannę Mary, ze zdumieniem niezwykle przyglądająca się kupcowi; na pana Streckfussa i pannę Różę, którzy nareszcie przestali się sobą zajmować, i zwracając się w końcu do klienta, odparł z wahaniem:

— Ze trzydzięci sztuk w rozmaitych cenach...

— Ile razem kosztują?

— Ile razem...?

— Czy potrzeba — spytał klient łagodnie — czy nieodroźnie potrzeba, ażebyś pan każde moje pytanie powtarzał? Głośno i wyraźnie, zdaje się, pytam, ile trzydzięci pyjam razem kosztuje?

— Och, panie... — zaczął pan Pinkvoss urażonym głosem, w obawie jednak splotenia takiego klienta, dokończył grzecznie:

— Widzi pan... zakupy tego rodzaju zdarzają mi się, szczerze mówiąc, dość rzadko.

Na co przybysz z miejsca mu odparł:

— Skoro to panu niedogadza... widziałem z prawej strony na rogu sklep galanterijny, z lewej również; pójdę tam, jeśli kupno panu nie na rękę.

— Niechże mnie pan źle nie rozumie — odparł pan Pinkvoss z prośbą w głosie. — Za te trzydzięci pyjam, licząc po dwadzieścia marek przeciętnie, wezmę sześćset marek od pana.

— Pan na serjo tego nie mówi. Sam pan twierdzi, że jest to zakup hurtowy. Daję panu... czterysta marek, dajmy na to i każ pan trzydzięci pyjam zapakować. Pończochy są w sklepie?

— Pończochy? Ależ to moja specjalność. Pan ma skarpetki na myśli? Wełniane? Półwełniane? Bawełniane? Fil d'écosse? Bardzo proszę! Po tamtej stronie!

— Nic z tego — zaśmiał się klient. — Damskie pończochy! Jedwabne damskie pończochy!

— Jaki numer?

— Potrzebuję wszystkie numery.

— Pan potrzebuje wszystkie numery? — powtórzył pan Pinkvoss zdumiony, pod pełnym wyrzutem spojrzeniem gościa poprawiając się natychmiast. — Tak, tak, naturalnie! Panu wszystkie numery są potrzebne.

— Jaka cena tych jedwabnych pończoch?

— Te są najtańsze. Jedna marka osiemdziesiąt za parę. Ale ceny są przeróżne; idą w górę aż do jedenastu marek za parę.

— Hm, hm. A jeżeli zakupię wszystkie pończochy, które pan masz na składzie?

— Wszystkie pończochy... które mam... na składzie?

Mimo piorunujące spojrzenie niepowszedniego gościa pan Pinkvoss nie mógł się od powtórzenia pytania powstrzymać.

— Pan daruje... pan daruje... ale to mój zwyczaj... jak jestem podniecony... Mój cały zapas pończoch zatem mogę panu za tyśiąc trzysta sześćdziesiąt marek ogółem oddać.

— Ale wobec tego, że kupuję za gotówkę, oddasz mi pan za dziewięćset. Każ pan pończochy pakować.

— Nie — oparł się pan Pinkvoss, irwając, że raz przynajmniej musi zęby pokazać — niżej tyśiąca nie oddam.

— Na dziewięćset pięćdziesiąt musisz się pan jednak zgodzić...

— Trudno, niech już tak będzie. Panno Mary proszę całą partję pończoch spakować i rachunek na dziewięćset pięćdziesiąt marek wystawić.

— Państwo dziwią się zapewne — odezwał się klient — co ja z temi wszystkimi kombinacjami, pyjamami i pończochami zrobię?

— Naturalnie — odparł szef z głębokim ukłonem.

— Pan nie znasz mnie?

— Nie, panie.

— Pierwszego rozpoczynają się gościnnie występy mojej Revue w Westendteatrze. Zespół trzystu aktorów, z nich dwieście dziewięćdziesiąt dam. Rozumiesz pan teraz?

— Pewnie, panie dyrektorze!

— Prawie całą godzinę spędziłem u pana — mówił dyrektor z zadowolonym wyrazem twarzy. — Stara historia, drobiazgi tyle czasu zajmują! Przyslijże pan cały zakup jutro z rana do Westendteatru na ręce dyrektora Meyer-Spelteriniego. Z pokwitowanym rachunkiem, oczywiście.

— Z przyjemnością, panie dyrektorze — odparł szef z głębokim ukłonem.

— Ile osób liczy pański personel? — spytał dyr. Meyer-Spelterini na odchodnym — przysyłaj państwu bilety na premierę.

Na ulicy czekało auto. Dyrektor wsiadł i odjechał, jak wódz maczelny, który wielką bitwę wygrał.

Podczas kiedy personel sklepowy gorączkowo nad wypadkiem dnia debatując, do pakowania zakupionego towaru się zabierał, pan Pinkvoss zaś, jak skała spiżowa wśród spienionych fal nieruchomo stał, rozegrał się ostatni akt dziwnego wypadku: dwaj panowie weszli śpiesznie do magazynu, pytając z niepokojem, czy nie był tu czasami rzekomy dyrektor Meyer-Spelterini, co robił i gdzie jest obecnie? W odpowiedzi na szybkie, pełne trwogi i zdenerwowania rewelacje pana Pinkvossa pokiwali głowami, patrząc tępo w stronę, dokąd dyrektor Meyer-Spelterini tylko co odjechał.

— Dziś właśnie — oznajmił jeden z nich — wymknął się z zakładu dla obłąkanych w Katarinenstein, mieuleczalny paramoik. Ma manję robienia olbrzymich zakupów dla teatru, którego rzekomo jest właścicielem. Kupuje zwykle kombinacje, pyjamy, jedwabne pończochy...

— Tak jest — podchwycił pan Pinkvoss glucho, doznając uczucia, że wraz z całym swoim magazynem głęboko, głęboko w bezdeny ocean się zapada...

— Przekreśl rachunek, panie Streckfuss — krzyknął do swego zastępcy — nie pakujcie towaru, moje panie! A wogóle, panie Streckfuss, gdybyś się pan cokolwiek lepiej na klientach znał i gdybyś pan, nota bene, więcej na drzwi zwracał uwagi, zamiast z panną Różą gawędki ciąć, na pierwszy rzut oka byś poznał, że z umyslowo chorym mamą do czynienia!

Tłum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok IV.

Łódź, 18 września 1927 roku.

Nr. 38.

## Wycieczka członków Konferencji Międzyn. Chemii Czystej i Stosowanej w Łodzi.



W b. m. odbyła się w Warszawie Konferencja Międzynarodowa Chemii Czystej i Stosowanej, której uczestnicy w dniu 8 września odwiedzili również Łódź.

Udział w wycieczce wzięło przeszło 50 osób, w gronie których było czterech przedstawicieli wielkiej prasy zagranicznej. Gości w Łodzi podejmował uroczysty Komitet, składający się z prezydium Wielkiego Związku Włókienniczego z prezesem p. Biedermanem i konsulem p. Scheiblerem na czele, Koła Chemików i Stowarzyszenia Techników.

Wycieczka zwiedziła Zjednoczone Zakłady Przemysłowe K. Scheiblera i L. Grohmana oraz Państwową Szkołę Włókienniczą, poczem goście opuścili Łódź.

Na zdjęciu widzimy uczestników wycieczki na terenie Zjednoczonych Zakładów Przemysłowych K. Scheiblera i L. Grohmana.